

IADWIGA MIGOWA.

## Dom, którego nie było...

4) Historia osobliwa.

Korabiec chwycił się dłońmi za głowę i ścisnął rozpalone skronie. Nie może przecież uwierzyć takim bredniom... To jakieś straszne nieporozumienie!... Dorota z pewnością jeszcze bawi w Dolinie Krokusów u pani Morskiej... Trzeba za nią pogonić. To będzie dopiero niespodzianka!...

Pewny był, że Dorotę zastanie w willi „Uroczysko”, a jednak serce waliło mu w piersi — niby dzwon na trwogę.

Korabiec wyskoczył z wagonu w Nowym Targu i wyszedł zrzęd stację. Rozejrzał się za autobusem z willi „Uroczysko”. Autobusu nie było.

Zagadnął więc jakiegoś przechodzącego górala:

— Kiedy przyjeżdża autobus z willi „Uroczysko”?

— Cego kcom?

— Pytam o autobus z willi „Uroczysko”.

— Ze Ściawnicy?

— Nie, nie ze Szczawnicy — z Doliny Krokusów.

— Nie słysołek o takiej dolinie.

Korabiec wstrząsnął się niecierpliwie. Co za nierozgarnięte góralsko!... I zwrócił się z kolei do posługacza stacyjnego:

— Nie wie pan, kiedy przyjeżdża autobus z willi „Uroczysko” — z Doliny Krokusów? Może już odjechał?

Posługacz spojrzał nierozumiejąc.

— Pan chce jechać do Szczawnicy?

— Ależ nie do Szczawnicy — na miły Bóg!... tylko do Doliny Krokusów!...

— To ja nie wiem, gdzie to.

Korabiec widząc, że się nie dogada, a autobusu nie widać — postanowił najać furkę.

— Słuchajcie — zapytał pierwszego lepszego woźnicy — ile chcecie za jazdę do Doliny Krokusów?

— Ka?!

— No, przecież mówię — wyraźnie, że do Doliny Krokusów.

— Dolina Krokusów? Pirse słyszę!... — dziwił się góral.

— A niech was tam!... — zaklął Korabiec. — Pójdę piechotą i konieci!...

Słońce zaczynało się już schylać ku zachodowi, gdy Korabiec minął zakręt drogi, za którym miała rozpocząć się Dolina Krokusów...

Ale gdzież pola krokusowe?... gdzie małe białe domki?...

Pastwiska, na których krowy szczypią trawę... gdzieś tam zwykłe chały góralskie... Co to się stało? Przecież ta droga prowadzi z pewnością do willi „Uroczysko”.

Miał z początku ochotę zapytać pastuchów, ale dał spokój. Przeczynał, że na zapytanie o Dolinę Krokusów otrzyma idiotyczną odpowiedź:

— Dolina Krokusów? Ka to? Nie słysołek!...

Szedł więc dalej przed siebie — coraz bardziej zdenerwowany i podrażniony. Już powinny

ukazać się mury willi „Uroczysko”... O! wzgórze — na horyzoncie góry skapane w różanej lunie zachodzącego słońca, które tylekroć podziwiał razem z Dorotą Odrowążanką...

Ale willi nie widać...

— Boże!... Boże!... co to znaczy?! Gdzie willa?!... gdzie Dorota?!... gdzie pani Morska o jednym przeczycie błękitnym oku?!

— Krasula!... Krasula!... — wołał pastuch, zaganiając krowy z pastwiska.

Korabiec zwrócił się ku niemu.

— Chłopcze!... — zaczął gorączkowo — nie znasz ty pani Morskiej?

— Pani Morskiej? Cy tej, co to jej oko z placu wypłynęło, a z tego zrobiło się Morskie Oko?... Słysołek, dziaduś opowiadali, ale niedobrze ją użyć... Ona tak jako i Mnich — nieśczęście zwiastuje...

Korabiec nie pytał już o nic więcej. Krople zimnego potu wystąpiły mu na skronie... Powoli... powoli... jak lunatyk pisał się na wzgórze... Nagle wśród bujnej trawy zabielało mu coś... Pochylił się... i zobaczył swój list pisany z willi „Uroczysko” do kierownika „Stella-filmu”... Obok listu krawat, którego zapomniał w willi... Przypomniał sobie, że list pisał na własnym przewiezionym z domu papierze... Kartek z widokami „Doliny Krokusów” nie było... A nikt ich nie otrzymał...

Zmrok otulał żalobną opończą wzgórze i spływał w dolinę...

## ROZDZIAŁ VI.

## Ostatnia rola.

— Powiadam wam — mówił dyrektor teatru do aktorów — że z tym Korabcem dzieje się coś niezwykłego od czasu, gdy wrócił z tej swojej tajemniczej wycieczki... Wprawdzie nie opowiada już o Dolinie Krokusów, ale zupełnie zmienił styl swojej gry... On dawniej niezrównany recytator... nikt nie umiał tak mówić wierszem... obecnie robi ze siebie coś, czego zupełnie nie rozumie... On najdoskonalszy w Polsce odtwórca ról szlacheckich, wspaniały wojewoda w „Mazepie”, niezrównany Sanguszko w „Halszce z Ostroga” zachorował teraz na jakiś dziwny realizm... Tak przecież Zborowskiego grać nie można, jak on go pojął... Ja, moi panowie, życie strawiłem w teatrze — ja się na tem także trochę znam!...

— I wszystkim robi uwagi — dorzucił jeden z aktorów. — Reżysera słuchać nie chce!... Śmieje się mu w oczy i powiada, że tylko on — on jeden rozumie epokę i tamtych ludzi!... Że autor był dureń, a aktorzy są idyoci!...

— Powodzenie przewróciło mu zupełnie w głowie!...

— Ale to się skończyć może!...

— Okrutną klapą!...

— Obawiam się, żeby swoim widz'niem nie położył sztuki! — rzekł dyrektor.

— No, to odebrać mu rolę!...

— Cóż znowu!... niepodobna!... Korabiec jest za wielkim artystą, aby go tak zlekceważyć... Cóżby na to powiedziała prasa? publiczność?

— Więc cóż będzie?

— Ha!... zobaczymy... Trzebaby wpłynąć na niego... wyperswadować...

— Jakże mu perswadować, kiedy zdziwaczał zupełnie... Nigdzie nie bywa, w kawiarni się nie pokazuje, od kolegów stroni... Zawsze posępny, chmurny... Ożywia się tylko w czasie próby.

— Coś w tem musi być...

W tej chwili drzwi gabinetu dyrektora otworzyły się i jak burza wpadła Rena. Rzuciła dyrektorowi na biurko zwitek zapisanego papieru.

— Dyrektorze!... oddaję rolę!... Nie będę grać w „Zborowskich”!

— Masz tobie!... A tę co znowu napadło!... Co się stało?!

— Nie będę grał!...

— Dlaczego?! Zapłaci pani karę!...

— To zapłacę, ale grać nie będę!...

— Ależ dlaczego do stu tysięcy dyabłów? — huknął pięścią w biurko dyrektor. — Na trzy dni przed premierą oddajesz pani rolę?!

— Korabiec mnie obraził!...

— W jaki sposób?

— Powiedział mi, że moja Włódkowa — to parodia!... parodia prawdy!... Mnie coś takiego powiedzieć — mnie?... Renie Zanetoni?!

— Utrapienie z tym Korabcem!... Mojem zdaniem — a ja się chyba na tem znam — gra pani doskonale...

— No... widzi dyrektor... — rzekła udobruhana Rena — a ten nieznośny Korabiec...

— Cóż panią obchodzi jego opinia?... Dla jego dziwactwa masz się wyrzekać niewątpliwego sukcesu...

— Ale on swoim sposobem gry psuje mi najlepsze sytuacje!... Niech dyrektor co z nim zrobi!...

— Cóż zrobię?!... Może na premierze jakoś się to wszystko szarmonizuje.

Syki... tupanie... przeraźliwe gwizdanie przerwały Korabcowi jego wielką tyradę.

— Skandal!...

— Coś niesłychanego!...

— To profanacja poezji!...

— Bluźnierstwo wobec historii!...

— Precz z Korabcem!...

Ponowiły się gwizdania. Dyrektor biegł za kulisami, rwąc sobie włosy z głowy:

— A mówiłem!... mówiłem!... że położy sztukę!...

Korabiec z wyrazem pogardy i wyniosłej dumy spoglądał na widownię... Nagle zajaśniały mu oczy... W loży prosceniowej siedziała Dorota Odrowążanka i uśmiechała się do niego... Obok niej pan Zborowski, którego poznał w willi „Uroczysko” i stara kobieta w czerni, właścicielka pierścienia w kształcie węża.

Patrzą na niego i biją oklaski... Publiczność gwizda... tupie... a oni biją oklaski... Są zadowoleni.

Wyciągnął ręce ku ukochanej postaci:

— Doroto!... Doroto!... — zawołał.

Nowe zamieszanie, nowe przerażenie suflera i współgrających. Takiej „kwestyi” niema węgemplarzu. Rena uciekła ze sceny.

— Doroto!... panie Zborowski!... jesteście!... Chodźcie tutaj, zaświadczyć, że Dolina Krokusów istnieje, że ja was znam!... że ja was poznałem!...

— Nieszczęście!... Zwaryowali!...

— Telefonować po lekarza!...

— Spuścić kurtynę!...

Spuszczono kurtynę. W parę minut potem ukazał się reżyser oznajmiając:

— Z powodu nagłego zasłabnięcia pana Korabca — przedstawienie przerwać musimy!...

Korabcowi nałożono kaftan bezpieczeństwa i odwieziono go karetką szpitalną do domu wariatów.

K O N I E C.

